

dran
50/55
22 X

„Wesele - typ” „Ach, ta chata rozśpiewana...”

„Wesele” jest niezrozumiałe — z takim zdaniem można się było spotkać na premierze tego dramatu w Teatrze Domu Wojska Polskiego, który gra obecnie w nowej sali Pałacu Kultury i Nauki^{*)}. Czy rzeczywiście niezrozumiałe? Czy może być „niezrozumiałym” utwór, który przez tyle lat z taką siłą działał na umysły czytelników i widzów teatralnych? Nie mówię już o premierze z 1901 r., która wstrząsnęła Krakowem. Ale i późniejsze przedstawienia „Wesela” wywierały duże wrażenie, choć — jeśli wierzyć wspomnieniom i zachowanym świadectwom — żadne z nich nie było doskonałe. Kiedy zaś dziś słuchamy „Wesela”, okazuje się, że dużą jego część znamy na pamięć. Co chwila znajdujemy zwroty i powiedzenia, które przeszły stąd do mowy potocznej. Na scenie ciągle mówi się „cytatami”. Tyle prostoty i poetyckiej melodyjności było w tych zdaniach i frazesach, że zapadały one od razu w pamięć.

Czy więc „Wesele” przestaliśmy rozumieć i głębiej odczuwać dlatego, że tak daleko odeszliśmy od tamtych czasów? W takim stwierdzeniu byłaby może cząstka prawdy, ale tylko cząstka. „Wesele” ma w sobie zbyt wiele niezwykłych i przedziwnych piękności, aby mogło stać się tylko pamiętką literacką, zrozumiałą jedynie dla wtajemniczonych. Jeżeli dziś nie wszyscy łatwo je pojmują, dzieje się tak po pierwsze dlatego, że przez wiele lat odwykliśmy od sztuk posługujących się śmiałością metafor poetycką. Pomijano je w repertuarze teatralnym jako „nierrealistyczne”. Po drugie — aby „Wesele” było na scenie w pełni zrozumiałe, trzeba je odpowiednio zagrać i wystawić. A to znów zależy w dużej mierze od pierwszego: nie tylko publiczność, ale i nasi ludzie teatru odwykli od tego rodzaju sztuk. Dlatego Teatrowi Domu Wojska Polskiego należy się uznanie za decyzję wyboru i duży wysiłek. Wyspiańskiego — po dłuższej przerwie — trzeba wreszcie zacząć grać choćby nawet skazałym się było na częściowe niepowodzenia. Niepowodzenia te można zrozumieć i usprawiedliwić. Brak nam doświadczeń, ale ktoś musiał zacząć te doświadczenia stwarzać. Tym bardziej, że nie idzie tu o kłopotanie dawnych wzorów, ale trzeba na Wyspiańskiego spojrzeć z perspektywy naszych czasów. „Wesele” zaś jest do wystawienia bardzo trudne. Trudniejsze do wystawienia niż do zrozumienia.

Wyspiański przez dwa dni siedział w Bronowicach na weselu swego przyjaciela z wiejską dziewczyną — Lucjana Rydla z Jagusią Mikołajczykówną. Patrzył na zabawę miejskich gości z chłopami. Patrzył — on, niepijący, mrukiwy i trzymający się na uboczu — na to rozochocione i częściowo pijane towarzy-

tami, alkoholem. „Temperament grają”... Luźnych scen nie wiąże żadna wspólna akcja, ale łączy je jeden wspólny rytm. Coraz to jakaś para, bardzo plastycznie zindywidualizowana, wpada z izby weselnej z fragmentem zaczętej i nie kończonej rozmowy. W szybkich słowach brzmień „przez pół drzwi, przez pół serce” toczą się dialogi, padają zaręty, snują się uroczyste wyznania liryckie. Nad wszystkim zaś wleczą się opary poezji. Każda scena jest klejnotem, dlatego tak trudno skrócić „Wesele”, mimo że ciągnie się ono trochę przydługoo. Żal tu każdego wiersza.

W przedstawieniu warszawskim brakowało owego jednolitego rytmu. Postaci wchodziły na scenę, wypowiadały swe kwestie i wychodziły. Być może do tego wrażenia przyczyniały się też dekoracje ukazujące również ścień, w której już przedtem widać było wchodzące osoby. Osoby te często robiły wrażenie nieco znudzonych — jak na oficjalnym przyjęciu, a nie na rozedrganym zabawą weselu wiejskim, czy półwiejskim. Pewną dozę tego znudzenia i niedostatkiem poetyckiego uroku odznaczała się gra JANA ŚWIDERSKIEGO jako Poety. Nijaki i jednostajny był ANDRZEJ BOGUCKI jako Pan Młody. Dość monotonne okazały się kobiety i dziewczęta wiejskie i miejskie. Z tych ostatnich tylko w ustach MARII BOGURSKIEJ (Maryna) wiersz Wyspiańskiego zabrzmiał szlachetną poezją. W tej sytuacji nie dziwnego, że piękno i wymowa wielu scen się zacierała, zwłaszcza że i dykcja nieraz zawodziła.

Ale były też w tym akcie osiągnięcia aktorskie udane czy nawet wręcz znakomite. Za każdym razem kiedy ukazywała się Rachel, przez scenę przechodził prąd poezji. Halina Mikołajska stworzyła postać bardzo prawdziwą, oryginalną — była chyba jedną z najlepszych Racheli w naszym teatrze, a grały tę rolę aktorki najwybitniejsze. Pełną wdzięku i prostoty Panną Młodą była Ewa Krasnodębska, Janusz Paluszkiewicz zagrał zamasyście Czepca — i tu i w wielkiej scenie trzeciego aktu. Z wielkim talentem przedstawił Żyda Kazimierz Opaliński. Tadeusz Chmielewski dał dobrą sylwetkę Księdzę — choć nie podkrakowską. W ogóle z atmosferą krakowską nie było w przedstawieniu najlepiej. Starzy „krakauerzy” na widowni nie bez słuszności kręcili trochę nosem. Ale dobrze wypadli bronowiccy chłopcy: Jasiek (Józef Nowak), Staszek (Włodzimierz Kmiecik), Kasper (Mieczysław Stocz), Kuba (Witold Piller), Pelen wyrazu był też Dziad w wykonaniu Janusza Nowackiego,

two. Patrzył oczyma człowieka przeżewego, myślącego i... bardzo złośliwego. Co widział — opisał, mierząc barwność obrazu oglądanego przez poetę i malarza ze zjadliwością i szyderstwem satyryka. Autentycznych, sobie współczesnych ludzi, których bez trudu można było zidentyfikować imieniem i nazwiskiem, przeniósł w świat poezji przedstawiony środkami poetyki swojej epoki. Z opisu bronowickiego wesela powstał pamflet poetycki, wielka metafora rzutująca daleko poza ściany „rozśpiewanej chaty“, ostrza i przejmująca satyra na inteligencję i chłopów. Panowie się „narodowo bałamuca“, karmią frazesami siebie i chłopów. W istocie niezdolni są do jakiegokolwiek czynu, kręcą się w jakimś sennym, rozpaczliwie beznadziejnym letargu. Chłopi obalamuceni tymi frazesami również stają się martwą, zastępią masą. „Tańczy cała szopka“ — pod takt usypiającej muzyki Chochola. Oto jasno tłumaczący się i prosty sens „Wesela“. Bo i wieszczania Wernyhory, z których kiedyś robiono wzniosłe wskazania narodowe, dziś brzmią także jak mętne i usypiające frazesy — nawet gdyby Wyspiański rozumiał je inaczej. W tej całej niezwykle sugestywnie pokazanej satyrycznej i krytycznej treści „Wesela“ są też solidarystyczne rozeria w imię dawnego hasła „z szlachcą polską polski lud“. „Wesele“ bowiem wyraża w nie mniejszy — ale i w nie o wiele większym stopniu sprzeczności wewnętrzne epoki, jak utwory wszystkich innych największych pisarzy polskich tego kresu.

Poza tym zaś jest w „Weselu“ mnóstwo symboli, poetyckich i teatralnych metafor, których przekładanie na język pojęciowy jest bezcelowe. Zepsuto już bardzo wiele papieru i atramentu na komentarze próbujące ułożyć w jeden logiczny ciąg wszystkie szczegóły i szczególiki. Daremny trud! Każdy symbol i każda metafora tłumaczy się na ogół jasno w poszczególnych sytuacjach. Zgubi się jednak w gąszczu sprzeczności ten, kto by zamiast praw poezji chciał stosować tu prawa żelaznej logiki. Już najinteligentniejszy recenzent prapremiery tego dramatu Wyspiańskiego Rudolf Starzewski napisał, że „łatwiej byłoby treść „Wesela“ wygrać na fortepianie niż oddać słowami“. Miał rację.

Ciągle działa z nieodpartą siłą ten obraz bronowickiej chaty, która się „od poezji trzęsie“, obraz, który uклада się w dramat społeczeństwa, a w każdym razie znacznej jego części. Wiersz zaś „Wesela“ brzmi zmiennym rytmem, wraca nawrotami refrenów, czaruje, dźwięczy w uszach melodią po przedstawieniu jak po koncercie.

Pamflet i poezja — tak trzeba dziś ująć „Wesele“ na scenie. Tak chyba zamierzali je ująć reżyserzy przedstawienia w Teatrze Domu Wojska Polskiego Maryna Broniewska i Jan Świdorski. Chyba — bo nie zawsze zamierzenia te znajdowały jasny wyraz w realizacji scenicznej i w wykonaniu aktorskim.

Prawdziwe „Wesele“ na scenie — takie, które by było dla widza zrozumiałe — musi mieć przede wszystkim właściwą atmosferę. Jest to w pierwszym akcie atmosfera podniecenia zabawa, muzyką, tańcem, flirt-

W akcie drugim występują zjawy. Zresztą to nie żadne zjawy, tylko po prostu poetyckie przedstawienie wewnętrznych rozterek czy tęsknot kilku postaci, pokazanie „co się w duszy kómu gra, co kto w swoich widzi snach“. To była najsłabsza część przedstawienia. Tu niedoświadczony widz istotnie niewiele mógł zrozumieć. Po pierwsze dlatego, że „zjawy“ te nie były wystarczająco wyodrębnione spośród pozostałych osób. Niewątpliwie mają one wyraźnie przypominać konkretne postaci, ale nie mogą one być konkretnymi postaciami. Stańczyk rzuca na ziemię (a właściwie pod stół) konkretny kaduceusz, który tu pozostanie mimo, że cała zjawy widoczna jest tylko dla Dziennikarza. „Autentyczne“ diabły autentycznie obmacują Hetmana. Autentyczny Chochol w oczach widzów opuszcza swe miejsce w ogrodzie itd. Takie „urealnianie“ myśli zaciemniało tylko wymowę artystyczną tego poetyckiego chwytu.

Po drugie — sceny z tymi zjawami wypadły w większości bardzo słabo pod względem aktorskim. Spośród zjaw tylko jeden SATURNIN BUTKIEWICZ jako Hetman miał mocniejsze akcenty. Najgorzej zaś przedstawiała się scena Dziennikarza ze Stańczykiem, scena bardzo ważna dla całości dramatu („I tę naszą dolę kaleczą, widzieć i trupem gnść“ — mówi w niej o sobie i sobie podobnych Dziennikarz.) Niestety, JÓZEF KONDRAT był Stańczykiem z niedobrego, a PRZEMYSŁAW ZIELIŃSKI Dziennikarzem ze złego teatru. Obydwaj robili wrażenie, jakby mówili tekst, którego nie rozumieją. Nic dziwnego, że i słuchacz niewiele rozumiał.

Ale i w tym akcie (zresztą i w innych, ale w tym szczególnie) jest jedna postać znakomita. To Gospodarz w wykonaniu Tadeusza Białoszczyńskiego. Jak pięknie mówił on wiersz, jak ładnie narysował osobę pana Włodzimierza, jego słabość, rojenia, uniesienia.

Zakończenie jest nieco inaczej ujęte niż w tradycyjnych przedstawieniach. Chochol, którego słowa naturalnym i przejmującym głosem wypowiada Bohdan Niewinowski, nie wylazi na skrzynię by grać tam na skrzypkach z patyków swą leniwą, usypiającą melodię. Usuwa się w półmrok przed scenę. Jeśli jednak ta końcowa scena nie robi tym razem tak mocnego wrażenia, jak to nieraz przedtem bywało, to nie wskutek innego zachowania się Chochola. Może przyczyniły się do tego dekoracje Andrzeja Pronaszki. Bardzo ładnie organizują one scenę i otwierają perspektywę na ogród, dach chaty i horyzont — na całą Polskę. W tym ich sens treściwy. Ale rozpraszają nieco nastrój i atmosferę. I właśnie w zakończeniu niebieskie poranne światło, które wypełnia czarem izbę, sączy się przez okno z ciemności. To psuje efekt.

Można by jeszcze długo snuć uwagi o różnych szczegółach przedstawienia „Wesela“ w Teatrze Domu Wojska Polskiego. Ma ono wiele słabości, ale i niejedną wartość zarazem. W każdym zaś razie dobrze, że możemy snuć te uwagi. Dobrze, że możemy oglądać „Wesele“.

AUGUST GRODZICKI.

P. S. Program teatralny podaje jedynie samą obsadę aktorską. Ani słowa o sztuce. Nie zawsze jest to potrzebne, ale w tym wypadku bodaj jeden jakiś artykuł informujący widza o „Weselu“ byłby chyba bardzo celowy.

*) Stanisław Wyspiański — Wesele. Dramat w trzech aktach (Teatr Domu Wojska Polskiego).